Krzysztof Ostaszewski

# Pozornie przynajmniej

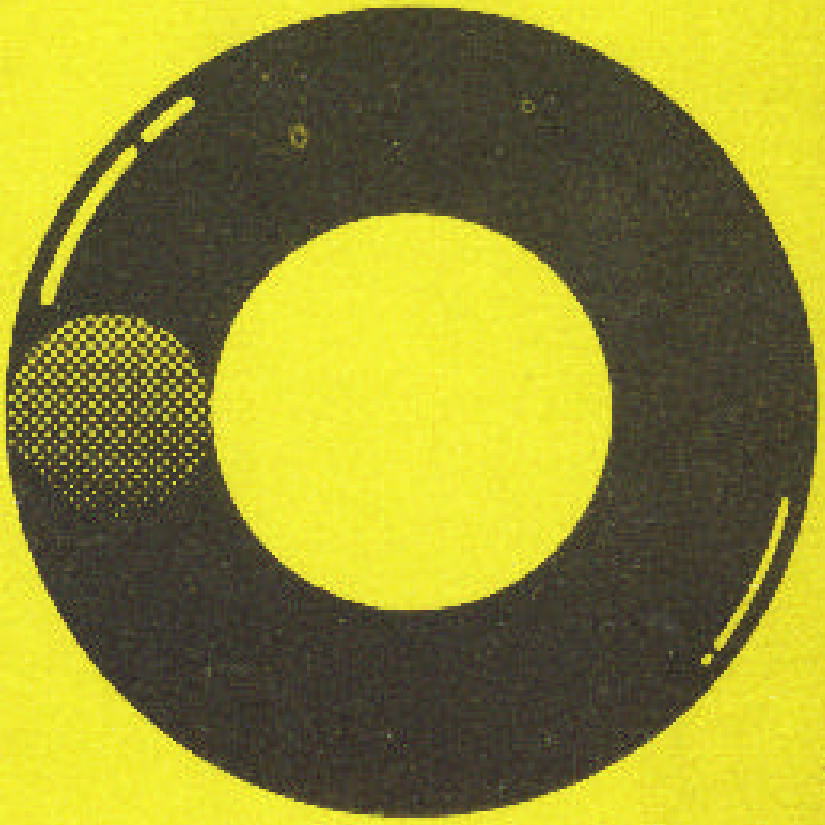

Biblioteka Poetycka

Wydawnictwo Łódzkie

Krzysztof Ostaszewski

# Pozornie przynajmniej

BIBLIOTEKA
BP
POETYCKA

Wydawnictwo
Łódzkie

Krzysztof Ostaszewski

# Pozornie przynajmniej

Okładkę i strony tytułowe projektował
KRZYSZTOF TYCZKOWSKI

Redaktor
ANDRZEJ BISKUPSKI

Redaktor techniczny
BARBARA STĘPIŃSKA

Korektor
PIOTR BOT

© Copyright by Krzysztof Ostaszewski, Łódź 1994

ISBN 83-218-0329-6

Nie dzielę tego sonetu na części, ponieważ podziały czyni się jedynie, aby wyjaśnić znaczenie rzeczy podzielonej; zaczem, jako że przyczyna tłumacząca okazuje się sama przez się dostatecznie, potrzeby podziału nie ma.
Co prawda, między słowami, w których ujawnia się uzasadnienie tego sonetu, znajdują się słowa wątpliwe: mianowicie kiedy mówię, że Miłość zabija wszystkie zmysły moje, i zmysły widzenia także przestają żyć, wyjąwszy o ile są poza narządami swemi. Wątpliwość ta jest nie do rozwiązania dla tego, kto w równym stopniu nie był wyznawcą Miłości, tym ale którzy nimi są, jasnym przedstawia się to, co miałoby być słów tych wątpliwych wyjaśnieniem, a przeto nie ma potrzeby, abym wyjaśniał podobne wątpliwości, bo w końcu słowa moje byłyby daremne albo zbyteczne.

**Dante Alighieri „La Vita Nuova"**

## opus 1, tragedia

Z jednej mojej chwili pamięci tworzę nitkę — nitka odpływa ode mnie i niesie ją wiatr. Teraz widzę ją daleko, nad miastem i nad ciemnymi dachami domów. Kiedy jestem tam, patrzę na wyspę usypaną z małych kamyków. Na tej właśnie wyspie tańczą dostojnicy w zielonych strojach, dostojnicy płyną przez chmury i wiatr rozwiewa poły ich szat, tarmosi ich wspaniałe krawaty. Oplatam ich nicią, uciekam. Jestem i teraz znów znikam, najmniejsze drgnienie powietrza budzi mnie. Wracam, z pamięci tworzę nitkę, z nici splatam tkaniny dla wszystkich mych dalekich krewnych. Dla gości jest wyspa, dla ciebie jest niebo, uciekaj.

Ostrzeżenia cichną, nie słyszę ich. Jestem znów, znikam. Jeśli z pamięci tworzę nitkę, to już jej nie widzę.

Łódź, 17 listopada 1980

## opus 4, tragedia

Spójrz, jest Suseł. Spaceruje nocą przed norą, łapy podniesione, oczy otwarte. Noc, jak powiedziano.

Spójrz, ileż on zadaje pytań, pytania błahe, niepoprawne, niezrozumiałe. Przemieszane w nich życie codzienne i śmiałe kolorowe zmory, przemieszane w nich wszystkie noce Susła spędzone w norze. Nora jest mała, sucha. Nora jest jego wiecznym domem, który nosi ze sobą przez ulice wielkich miast Północnego Świata i wielkich wsi Południowych Zaświatów.

Spójrz przed siebie. Może nie zobaczysz tego Susła, trudno go zobaczyć, gdy znika pod śniegiem na miesiące zimowe, ale on jest, zapewniam cię — jest. Dałby wiele, abyś ujął mu cierpień. Suseł dałby wiele, aby tobie przydać cierpień — tych samych, które jemu spać nie dają.

Spójrz, idziesz przed siebie, stawiasz nogę na karku Susła, mocno przyciskasz go do ziemi. Suseł zbawia świat i ciebie, cierpisz jego cierpieniem, umierasz z głodu, pragnienia i tego nowego, nowego żalu.

Łódź, 9 stycznia 1981

## opus 6, tragedia

Posiwiali podróżnicy opowiadają przedziwne historie o oceanach. A przecież każdy ocean mógłby składać się z małych niebieskich i zielonych kropek, udekorowanych białymi chmurkami — i nie zauważylibyśmy zmiany. Lub też brzegi oceanów. Skoro są trzy oceany, brzegów powinno być też niewiele. Lecz każdy podróżnik liczy je na nowo.
Wiele zresztą zależy od tego, czy podróżuje się nad chmurami, czy pod nimi. Jeśli jesteś Australijczykiem (lub też wszyscy sądzą, że nim jesteś), możesz patrzeć na świat przez chmury. I możesz go widzieć za tymi chmurami.

Zobaczysz oceany, zobaczysz je nagle i to może być twoje olśnienie.

Ale po cóż tak wiele, oceany skończą się, znikną — i będą znów ludzie, szczególnie wielobarwne panie o ciemnych włosach, panowie patrzący za siebie.

**Chicago, 17 września 1980**

## opus 7, komedia

Pewien pan szedł daleko, tak daleko, że nawet nie wiedział, dokąd idzie. Lecz wiedział, że nie idzie sam, tam szli przecież wraz z nim wszyscy ludzie, bez względu na rasę, religię i przekonania polityczne. Trzymali się za ręce, w ten sposób nie byli opuszczeni przez innych — to dodawało im sił. Nasz znajomy pan również czuł, że w swej wędrówce nie jest samotny.

Aż tu pewnego dnia — zauważył, że jego lewa dłoń dotyka jego prawej dłoni. Sam siebie trzymał za rękę. Był przerażony, wydawało mu się, że zgubił się zupełnie w tym wielkim świecie.

A przecież nawet jeśli zgubił innych ludzi, to odnalazł siebie.

Łódź, 7 marca 1979

## opus 9, komedia

Z powątpiewaniem osądzał pewien gwizdek wartość lokomotywy, którą spotkał podczas popołudniowego spaceru. Co prawda potrafiła ona od czasu do czasu wydobyć z siebie jakieś ciekawe, nawet donośne gwizdnięcie, jednak jej marnotrawstwo energii było przerażające. Lokomotywa pędziła po szynach (zawsze po szynach — cóż za perfidna jednostronność!), spalała węgiel, sapała ze złością i rzadko, nader rzadko wydawała interesujący przeciągły dźwięk.

I tak szczerze mówiąc — marne było to gwizdanie.

Łódź, 4 czerwca 1979

## opus 12, komedia

Była to klatka złożona z dwóch części, połączonych przejściem. Metalowa siatka położona na dnie jednej z części podłączona była do obwodu elektrycznego. I w tej właśnie części klatki był szczur.

Przez siatkę popłynął prąd. Szczur podskakiwał, poruszał łapkami i piszczał, bardzo dziwnie piszczał. Ale doświadczenie nie przynosiło pożądanego efektu — oczekiwano bowiem, że szczur wyrobi sobie odruch warunkowy przechodzenia do drugiej części klatki na widok światełka, które zapalano wraz z podłączeniem napięcia do siatki. Szczur piszczał i nie przechodził. Przeniesiono go. Oczywiście wrócił do swojej części i znów piszczał. Był to więc szczur całkiem nieodpowiedni do tego doświadczenia. W ogóle nie można ocenić go pozytywnie.

Dziś już, na szczęście, w ośrodku naukowym nie ma takich szczurów.

Łódź, 10 października 1978

# opus 13, komedia

Wyobraźmy sobie stół, na którym leży bardzo dużo diamentów. Gdzie taki stół można znaleźć? Nie wiadomo, może nie ma go w ogóle, a może jest bardzo dużo takich stołów. Ale pamiętajmy, każdy z tych małych kamyków, które leżą na stole, to diament, prawdziwy diament.

Niektóre ze szlachetnych kamieni, wspomnianych powyżej, są oszlifowane. Dlatego należałoby raczej nazwać je brylantami. Jednak musimy przyznać, że oszlifowanie w niczym ich samych nie zmieniło, dodało im trochę blasku, i to wyłącznie zewnętrznego.

A inne diamenty? Nie lubią brylantów, są złe na nie, zazdrosne o ten ich połysk. Sądzą też, że brylanty narzucają im swój blask i tym samym postępują niedelikatnie.

Cóż na to brylanty? Błyszczą nie wiedząc o niczym. Bo skąd miałyby wiedzieć?

Problem ten pewnie można by rozwiązać, gdyby poznać źródło blasku brylantów. Ale jest to trudne, bo widywano brylanty oszlifowane przez niewidzialnego i tajemniczego Jubilera, widywano też takie, które oszlifowały się same, wykorzystując chwilę nieuwagi całego świata.

Łódź, 16 listopada 1978

## opus 16, komedia

W wieku dziewiętnastym Ery Nowej na planecie Theta dwaj wielcy Rzeźbiarze — Bajten i Gajten, odkryli, że piękne Rzeźby tworzyć można nie tylko z kamienia, ale i z metalu.

Jako że Rzeźba była zawsze dla mieszkańców planety Theta wyrazem Tajemnicy ich Jedynego Istnienia, odkrycie tych dwóch poruszyło wszystkich. I wzbudziło ono wiele reakcji, przeważnie oburzano się na bezecną profanację świętych tradycji — bo jakże można Rzeźbić w metalu?

Bajten i Gajten poświęcili życie całe dla walki o swą ideę. Po śmierci uznano ich za równie wielkich, a może i większych niż ci, co niegdyś tak pięknie Rzeźbili w kamieniu.

W wieku dwudziestym Ery Nowej na planecie Theta tworzono już tylko metalowe Rzeźby. Stare Rzeźby drewniane pokrywano metalem.

Katowice, 24 czerwca 1977

## opus 17, tragedia

Jedną małą chwilę, jedną drogą chwilę zmieniał Suseł w czas liczenia i czas takich myśli, których nigdzie indziej (pozornie przynajmniej — powtarzam) dotąd nie było. Naprawdę teraz uciekasz i śpisz, on przecież mówi do siebie i patrzy w lustro — czy ta twarz jest moją twarzą, czy też ona w ogóle jest tutaj, skoro ja znikam, to i ona bezlitośnie rozpływa się we mnie, w cieknącym przez palce (przez nasze ciemne oczy) czasie.

O wielki oceanie (jeśli tak mogę cię nazwać, bo mylę się, Suseł myli się w ocenie twojej odległości od siebie) — twoje delikatne fale opływają brzegi mojej wyspy, tu mieszkam cichutko z jednym psem i jednym niepotrzebnym problemem — mój drugi sen zginął gdzieś w czasie podróży na południe.

**Warszawa, 4 sierpnia 1979**

## opus 18, tragedia

Kiedy byłem jeszcze małym wielbłądem, gdy ziarnka piasku wpadały mi do oczu nie czyniąc najmniejszej krzywdy, czułem, jak przepływały przeze mnie fale pustynnego oceanu. W oddali mógł przecież pojawić się złudny miraż i nikt nie zachwycał się nim — pytałem sam siebie, czy moje wrażenia nie są po prostu jeszcze jednym mirażem. Moja jedyna radość, jaką był świat (mój pustynny świat), dla innych (dla wielbłądów starych i doświadczonych, dla wiecznie niespokojnych ludzi) była tylko udręką, którą przeklinali, a od której przecież nie potrafili się uwolnić.

Pustynia była moim nauczycielem życia. I jak każdy nauczyciel, tak i ona zmuszała mnie do poznania jej własnego świata, jakbym sam nie umiał stworzyć czegoś równie dziwnego. Ale czy mogę mieć pewność, że potrafiłbym od niej uciec, skoro w ogóle zadaję sobie takie pytanie?

Dziś wreszcie uwierzyłem, że i pustynia, i świat, i ludzie nawet, są także dalekim, złudnym mirażem i to on właśnie uczył mnie zawsze, przypominał o sobie, choć pewien jestem, że go nie ma teraz lub nie będzie go kiedyś, tak jak i ja znikam.

Łódź, 5 października 1979

## opus 20, komedia

Nocą gwiazdy patrzą z nieba na ludzi. Każda z nich świeci tym światłem, które jest w niej i jest z jej naturą nierozłącznie związane.

Ludzie podnoszą głowy, patrzą w górę i pytają — która gwiazda świeci najjaśniej, która z nich jest najważniejsza?

I czasem któraś z gwiazd chciałaby dać im ludzką odpowiedź — wtedy ci na dole uśmiechają się i mówią — spadła gwiazda....

Lecz któż zechce wysłuchać prawdziwie gwiezdnej odpowiedzi — że nie ma znaczenia, która świeci najjaśniej, a której nie widać nawet, bo one świecą nie dla blasku, lecz dla światła jedynie?

Na wielkm arrasie Północy i Południa ludzie ciągle jeszcze szukają innych odpowiedzi.

**Molunat, 29 sierpnia 1979**

## opus 21, tragedia

Piórko poruszane lekkim podmuchem wiatru, powolnym upływem czasu i całą świętością światła leci gdzieś poza granice wymyślonej przez nie same rzeczywistości, zmienia swój kształt, zapomina o szacunku dla słodkich tradycji.

Piórko widzi pod sobą miasto, potem duży las — drzewa szumią spokojnie, wszyscy ludzie są mali niczym główki od szpilki, a przecież dostrzec można, jak kłaniają się szarym cieniom.

Piórko leci wśród chmur i niebo jest niebieskie, zza słońca wychyla się twarz drapieżnego demona.

Tam gdzie jeszcze wczoraj oszukany dym kręcił się w kółko i w kółko, próbując znaleźć dla siebie miejsce, choć po prostu nie powinien był go szukać, tam gdzie wszyscy okoliczni mieszkańcy (ptaki, anioły i przebiegłe diabły) grymaszą i kręcą głowami, podśpiewują, potem znów skaczą przez chmury...

Piórko znika tam właśnie, jest bardzo zmęczone. Przed odejściem pozdrawia wszystkich serdecznie.

**Głowno, 3 października 1979**

## opus 22, tragedia

Siedzę nad brzegiem jeziora i patrzę na wodę. Patrzę na wyspę, na rosnące na niej drzewa. Widzę coraz więcej i myślę (myślę sobie cichutko) o moim dniu, który mija, ucieka mi. Ucieka niezbyt szybko, ale ja gonię go jeszcze wolniej.

Spytajmy więc — co dziś widziałem i czy widziałem to naprawdę? To były małe, kolorowe domy i duże domy, w których mieszkają bogaci ludzie. Zobaczmy (zobacz i ty), kim jestem dziś i teraz, w zupełnie innym miejscu.

Jestem małym stworzonkiem. Nigdy nie byłem przecież większy od mojego śmiesznego wskazującego palca.

Jestem wspomnieniem i żalem gdzieś we mnie. Właśnie żal jest sternikiem moich pragnień, zwłaszcza wtedy, gdy nie wiem, czego chcę.

Jestem tam, gdzie mnie widzisz. Lecz jestem też w innych miejscach, w których widzę jeszcze moje ślady. I będę tam zawsze — póki starczy mi sił.

**Toronto, 26 sierpnia 1980**

## opus 23, komedia

W pewnym ogrodzie zoologicznym, w jednej klatce, już od kilku lat mieszkały razem dwie zebry. Jedną z nich schwytano w Afryce i przywieziono do ogrodu. Wtedy zamieszkała z drugą, starszą już, urodzoną kiedyś dawno tu właśnie, a nie na afrykańskiej sawannie.

Obie zebry były zawsze bardzo smutne. Bo codziennie, o każdej porze widziały wokół siebie kraty. Były w niewoli i odczuwały to bardzo dotkliwie.

Starsza zebra wiele rozmyślała. I kiedyś przyszło jej do głowy, że pionowe pręty klatki dotyczą tylko młodszej z nich, a poziome pręty klatki są przeznaczone wyłącznie dla starszej. Dlaczego tak? Nie wiadomo, któż potrafiłby zrozumieć zebrę i jej zawikłane myśli?

Starsza zebra opowiedziała swej przyjaciółce o odkryciu, jakie poczyniła.

Zauważono, że od tego dnia obie zebry były jakby weselsze, lub — ściśle mówiąc — w nieco inny sposób smutne.

Łódź, 3 lutego 1979

## opus 27, tragedia

Justysia tańczy. Jest szczęśliwa. Świat zaskoczony i zadziwiony kręci się wokół niej, gwiazdy milkną, ptaki otwierają dzioby, a potem powoli je zamykają, bo są zdumione. Ryby w rzekach, strumykach i jeziorach nasłuchują, ciągle jeszcze nie wiedzą, pytają jedna drugiej — cóż to za szybki i cichutki tupot? Justysia unosi ręce wysoko, wysoko. Jej włosy rozwiewa wiatr. Pantofelki rzucone w kąt oczekują spokojniejszej chwili, sukienka powiewna i lekka tańczy, cieszy się razem z Justysią.

Serce Justysi bije mocno. Radość. Coraz prędzej, trzeba się śpieszyć, by wykorzystać tę szczęśliwą chwilę jak najładniej.

I jeszcze, jeszcze. Justysia kręci się najszybciej jak może

Wieczorem przyjdzie borsuk i znów nie będzie jej wolno.

Łódź, 21 stycznia 1978

## opus 28, komedia

Wyobraźmy sobie kilka ślimaków łażących po okręgu. I przypuśćmy, że marzeniem tych ślimaków jest dotarcie do środka okręgu (jedno marzenie dla wszystkich). No cóż, powiemy, nic prostszego niż pójść w jego kierunku, dla wszystkich droga jest jednakowo długa i jednakowo trudna, przecież odległość wszystkich punktów okręgu od środka jest taka sama. To prawda, ale nie wzięliśmy pod uwagę jeszcze jednego problemu. Otóż wśród ślimaków jeden jest najsilniejszy i najważniejszy, krótko mówiąc — jest wodzem stada. Inne muszą się stosować do jego nakazów — z konieczności. Ten najważniejszy ślimak znalazł swoją drogę do środka, prostą i łatwą — wzdłuż promienia i teraz nakazuje wszystkim innym ślimakom, by po łuku okręgu przywędrowały do punktu, z którego wyruszył, a dopiero potem szły do środka — jego śladem. Tak, każdy ślimak, który chciałby pójść do środka najkrótszą drogą, myli się — i wódz stada mu to udowodni.

Łódź, 7 października 1978

## opus 29, tragedia

Czasem, gdy Justysia idzie ulicą, bardzo poważny głos wewnętrzny mówi jej nagle: — Oj, lepiej obejrzyj się za siebie, Justysiu. Na pewno idzie za tobą wielki żarłoczny królik o białych zębach i niezwykłych uszach. I ten królik jest głodny. Przecież to niebezpieczne, on może ci zrobić krzywdę. Dlatego obejrzyj się za siebie, Justysiu.

Ale Justysia lekceważy jego ostrzeżenia. Przyśpiesza tylko kroku zaniepokojona i stara się nie myśleć o niebezpieczeństwie, które jej grozi. Ma rację. To, co mówi jej głos wewnętrzny, jest śmieszne i niemądre.

A poza tym, co by było, gdyby obejrzała się i wbrew wszelkim oczekiwaniom ujrzała za sobą ogromnego królika?

Łódź, 3 lutego 1978

## opus 30, komedia

Powiadają, że lew to zwierzę dzikie i złe. Mówią też, że lew jest leniwy, całymi dniami wyleguje się i nic nie robi.

Pewien pan dziwnym zbiegiem okoliczności stał się właścicielem lwa. I to lwa w klatce. Przez długi czas nie mógł znaleźć dla niego żadnego zajęcia. W końcu jednak udało mu się uzyskać pewną pracę chałupniczą dla lwa — robótki na drutach.

Leniwy lew nie chciał robić na drutach. Pan kupił bat i szpicrutę. Za pomocą tych przyrządów zachęcał nieroba do pracy. Ale ogólna opinia o lenistwie lwa potwierdziła się. Zwierzę pod wpływem zdecydowanych akcji pana zaczęło pracować, zrobiło jednak niewiele i zniszczyło przy tym znaczną ilość cennej wełny.

Potwierdziła się też ogólna opinia o złym charakterze lwa. Pewnego dnia wyrwał się on z klatki i pożarł swego pana.

Łódź, 15 marca 1930

## opus 33, tragedia

Justysia zimą odczuwa chłód wokół siebie. Powietrze opływa ją beznamiętnie, jak drapieżne zwierzę przypominając o swojej obecności. Ludzie chronią się przed czasem i otulają się białymi kołdrami — zmieniają się w śmieszne, brudne bałwanki. Lecą płatki z nieba, powoli. Błysną czasem srebrzyście, czasem niebiesko.

Justysia chciałaby zmienić się na zimę, być jakby inna, aby wraz z odczuwalną zmianą świata dojść do nowej, choć podobnej do letniej, równowagi. A kto by dziś chciał bawić się kolorami i przejmować się teczką, która powoli wysuwa się spod przytrzymującej ją ręki?

Śnieg pada. Jakby szedł przez świat i cichutko tupał po drodze.

Podobno zimą mewy znikają, jak liście i jak jeże. A słonie nie wiedzą, co to zima, bo nawet jeśli ją ujrzą, to myślą tylko o swoim katarze.

Wśród tych wszystkich zwierząt zjawia się raz jeszcze Justysia i przypatruje się im z uwagą. Podziwia zwłaszcza zająca, którego futerko staje się białe. Ach — przystosowanie — czyż nie jest ono wspaniałe?

Zimą świat przemienia się, jakby rośnie. Na drzewach nie ma liści, przez co gałęzie stają się większe. Oczywiście drzewa, jak zwykle, są tajemnicze.

Jakże niezauważalnie potrafi się uporać Justysia ze swymi kłopotami! Nie nazywa ich nawet, bo widzi wokół siebie coś innego — wystawy sklepowe, przystanek autobusowy i nie kończący się pochód przysypanych śniegiem samochodów.

Dwukolorowe czarno-białe tło zewnętrznego świata nagle staje się najważniejsze.

Zdarza się, że w czasie największych mrozów można przynieść do domu kilka gałązek drzewa i wstawić je do wazonu. Rozwiną się na nich listki i wtedy już nie będzie wiadomo, kto kogo oczekuje.

Na zimę Justysia staje się małą białą myszką i biega bardzo szybko wokół tych wszystkich spraw. Lecz jeśli czuje się zagubiona, to tylko dlatego, że jest mniejsza niż zwykle i nie jest do takiego stanu rzeczy przyzwyczajona.

Łódź, 5 stycznia 1979

# opus 42, komedia

Arystotelesa definicja prawdy jest w pewnym stopniu deprymująca. Bowiem myśl, która ma zmienić świat, czyli myśl wartościowa, musi wyprzedzać rzeczywistość. Jest ona jednak, zgodnie z powyższą definicją, nieprawdziwa.

Wniosek ten ma w sobie coś subtelnego. Człowiek jest bowiem trochę takim stworzonkiem, które w imię wyimaginowanych wizji działa twórczo. Jest kształtującym świat fałszem. Całość jest strukturą, której nie dotyczą kategorie etyczne, niesłusznie przenoszone na nią.

Bez względu na uboczne konsekwencje logiczne tych słów należy raz jeszcze podkreślić, iż dynamika ludzkiej świadomości łączy się ze statycznym charakterem jej pozamyślowych warstw (metafizyka poprzedza gnozeologię).

Przyjacielem jest mi prawda, lecz większym przyjacielem jest mi Mozart.

Łódź, 25 maja 1978

## opus 46, tragedia

Szła Justysia przez las deszczową porą. Niosła nad głową parasol, niebieski parasol w kratkę. Patrzyła na gałęzie, na drzewa, na liście, na gałęzie. Patrzyła i widziała. Szła radośnie, bo las ją uspokajał. Cieszył ją. Las był miły i przytulny. Aby opisać to dokładniej, należy jeszcze powiedzieć, że Justysia myślała o tym lesie, przez co upodobniał się on do jej myśli. A że jej myśli kształtowane były przez las, zatem... — właśnie to Justysia miała na myśli.

Nad jej głową kukała jakaś zwariowana kukułka, szalała jakaś wściekła wiewiórka.

Skierniewice, 8 sierpnia 1980

## opus 47, komedia

Budowali dom. Pracowali wytrwale, zużyli wiele cegieł i niezwykłą ilość zaprawy murarskiej. Ich wysiłek miał znaczenie niemal symboliczne.

W końcu zbudowali go. Był to dosyć duży prostopadłościan ułożony z cegieł związanych zaprawą. A co było wewnątrz? Nie było żadnego „wewnątrz", wszędzie były cegły, oczywiście wysokiej jakości.

Pewien przechodzień odezwał się do nich tymi oto słowy: — I jakże to? Czyż w tym będzie można mieszkać? Chcecie nazwać to domem?

Oburzeni odpowiedzieli, że przecież są w ich tworze cegły, jest zaprawa. Czymże więc miałoby być ich dzieło, jeśli nie domem? Więcej — skoro użyto doskonałych materiałów i włożono w pracę tyle wysiłku, zatem wynik jej musi być wspaniały.

Przechodnia przepędzili.

**Gdańsk, 3 sierpnia 1978**

## opus 48, komedia

Jeśli na dużym placu, pokrytym betonowymi płytami, wyrośnie stokrotka, to może na szczęście nikt tego nie zauważy.

Lecz pewnie dojrzy ją jakiś człowiek, poważny i godny szacunku, i zgłosi gdzieś poważny i godny szacunku wniosek.

Wtedy plac zostanie pokryty drugą warstwą betonowych płyt, do wysokości, na jaką wyrosła stokrotka, aby przystosować otoczenie do wyznaczonego przez nią poziomu.

Łódź, 5 grudnia 1977

## opus 50, tragedia

Justysia miała ostatniej nocy straszny sen, jeden z tych, które właściwie nie dają jej spać, ale podczas których tak czy inaczej spać musi. Jest skazana na oczekiwanie, takie zwykłe oczekiwanie. Fatalizm zaklęty w tym dziwnym zjawisku nie jest jednak okrutny ani przerażający. Jest dość pospolity, jak każdy inny fatalizm.

Justysi śniło się, że odebrano jej najświętszą wolność — że miłość jej nie będzie j e j miłością, a tylko byle jakim skojarzeniem losu i przypadku, dwóch braci — bliźniąt nierozłącznych. Dane jej było pokochać tego, który pierwszy jej dotknie. A może miał być to ten, kto pierwszy spotka ją na ulicy czy w sklepie i spojrzy jej w oczy?

Justysia jechała do pracy autobusem. Na przystanku stała długo. Gdy autobus przyjechał (nareszcie, nareszcie...), podbiegł pewien przystojny pan i potrącił ją swoją t o r b ą podczas wsiadania. T o r b a była brązowa, ładna, trochę już podniszczona. Justysia z uwagą przypatrywała się j e j podczas jazdy. Podobał się jej pasek służący do przewieszania t o r b y przez ramię, z czułością spoglądała na j e j boczne kieszonki zapinane na zatrzaski.

Nie myślała o rozstaniu. Cieszyła się tym, czym cieszyć się mogła, napawała się j e j obecnością. Marzyła o wnętrzu

t o r b y, którego mogłaby przecież dotknąć (czyż byłoby w tym coś złego?), a którego nawet ujrzeć nie było jej dane. Była szczęśliwa i było jej smutno.

A kiedy t o r b a wysiadła z autobusu, Justysia pozostała sama wśród innych pasażerów.

**Łódź, 15 października 1977**

# opus 51, tragedia

Szedł sobie Wszemczuch ulicą
Jechał sobie Wszemczuch autobusem

Wszemczuch wyruszył w drogę. Szedł jak misjonarz, jak samotny wędrowiec — po prostu używał wobec siebie takiego wzniosłego określenia ten biedaczek (mały chłopiec, młody człowiek bez zasad, starszy pan z zasadami), wyobrażał sobie, że jeśli nazwie siebie, to świat pozostanie inny, a jeżeli określi świat, to on sam gdzieś zniknie. W istocie nigdy nie nazywał niczego, bowiem był Wszemczuchem i tylko poprzez swoje zachcianki zmieniał (lub też ustalał) cokolwiek.

Szedł ulicą (mały chłopiec, młody człowiek z zasadami, starszy pan bez zasad), wsiadł do autobusu, uciekał od siebie, jechał, siedział przy oknie (siedział przy oknie).

Spytano raz Wszemczucha — czy chcesz być szczęśliwy? Tak, oczywiście. Proszę — bądź, nic ci nie przeszkadza. A moje zabawki? Dlaczego mi je zabraliście? Przecież one wcale nie są ci potrzebne do szczęścia. Niech już tak będzie, ale oddajcie mi je, oddajcie, wszyscy mają zabawki, tylko ja jestem smutny i nic nie mam. Masz, Wszemczuchu taki!

Jaki? Niczego nie można mu przypisać prócz bezsensownej ucieczki, ale jeżeli ucieczka jest nim właśnie? Zostaje on sam, czysty, niekłamany Wszemczuch, i jak tu wiedzieć, czy on przy tym nie kłamie jak najęty (Wszemczuch kłamie jak najęty?).

Lecz jeśli kłamie wobec siebie, jeśli boi się, to tak właśnie jest i nie ma dla niego żadnej możliwości ratunku od jego samotności — jest to szczególna samotność, którą można widzieć z każdej strony inaczej, ale nie można jej widzieć z każdej strony jednakowo.

Wenecja, 20 września 1977

# opus 53, komedia

Zajęcie tego stworzonka jest niezwykłe, nikt z jego przyjaciół nawet go nie podejrzewa o wykonywanie takich czynności. Ono świetnie daje sobie radę, choć zawsze musi być zupełnie samo, gdy decyduje się na kontynuowanie dzieła (jego codzienna praca jest zarazem jego twórczym dziełem, przy czym nie chcielibyśmy, aby te słowa rozumiano w jakikolwiek wieloznaczny sposób). Stworzonko już przyzwyczaiło się do braku towarzystwa, trochę kłopotów i zdenerwowania przysparza mu jedynie konieczność postępowania ostrożnego, unikania dociekliwych spojrzeń ludzi. Nikt nie powinien wiedzieć, co też dzieje się ze stworzonkiem od godziny siódmej rano do trzeciej po południu. Jednocześnie wszyscy powinni sądzić, że ma ono jakąś zwykłą posadę. Stworzonko wstaje bardzo wcześnie, o szóstej rano, myje się i szybko je śniadanie. Potem zakłada swój zielony strój roboczy (ze względu nań będzie musiało chyłkiem przemykać się po schodach, ale przyjdzie mu to łatwo, bo jest całkiem malutkie). Idzie do pracy zawsze pełne entuzjazmu (fakt ten zostanie wyjaśniony w dalszej części historyjki, pozornie przynajmniej — powtarzam). Zaszywa się gdzieś wśród zieleni miejskich trawników (a jest małe i w kombinezonie, nikt go nie zobaczy) — szuka czterolistnej koniczyny. Każdej takiej koniczynie urywa jeden listek. Czasem zdarza mu się znaleźć koniczynę pięciolistną — jej urywa dwa listki. Pracuje w pocie czoła.

Co miesiąc stworzonko stawia się u zwierzchnika (gdzieś w porze wypłaty, między trzydziestym a trzydziestym pierwszym). To ciężka chwila. Otrzymuje wtedy wynagrodzenie za swój wysiłek, skromne, lecz zaspokajające jego potrzeby (o ile takie w ogóle istnieją). Ale jeśli zdarzy się, że jakaś koniczyna zostanie przez nie przeoczona i odnaleziona przez kogoś innego (zatrudnionego na innym stanowisku) — czeka je ciężka kara służbowa, a o pensji, tym bardziej o premii, nie może być mowy.

Nie musimy chyba dodawać, że o wszystkich wypadkach odnalezienia czterolistnej koniczyny (przez k o g o k o l w i e k) szef stworzonka jest Dokładnie Poinformowany.

Stworzonko usiłuje się usprawiedliwić, że odnaleziona przez jakiegoś człowieka czterolistna koniczyna wcale nie musi mu przynieść szczęścia, zwłaszcza wtedy, gdy nie wierzy on w swoją pomyślność. Ale to nic nie daje, regulamin nie przewiduje żadnych ustępstw wobec niesumiennego pracownika.

Dlatego stworzonko jest zawsze bardzo radosne, gdy znajdzie swoją koniczynę — wtedy wie, że los uśmiechnął się do niego, a kara służbowa oddaliła się na chwilę. Lecz żeby być naprawdę szczęśliwym, musiałoby odnaleźć wszystkie czterolistne koniczyny świata.

Łódź, 10 października 1977

## opus 54, tragedia

Egzystencji obecnej nie przypisuje on żadnych specjalnych wartości, uznając ją za niezbyt istotną, do pewnego stopnia wątpliwą. Śni o sobie, lecz wiadomo już, że wolno mu wymyślić wszystko — cudowne ogrody, bajeczne wodospady z kroplami wody rozpryskującymi się jak srebrne iskry, może pisać na ścianach, malować obrazki, tak z myśli swojej uformować każdą wizję — prócz siebie.

Zawsze zagadka. Więc on rysuje sobie te kreski, zaznacza jakoś mijające dni. Ale drzewa, niebo — wszystko to jedna kreska.

Łódź, 30 maja 1978

# opus 60, komedia

Wyobraźmy sobie pewną specyficzną substancję, której istotnym atrybutem jest zmienność. Ma ona też tendencję do chwilowego, a nawet dłuższego pozostawania w swoim aktualnym stanie. Wyprowadzić ją można z niego tylko za pomocą szturchnięcia. Lecz to odkształca ją w nieodwołalny sposób, bowiem otrzymana porcja energii zostaje przez nią zatrzymana. Tym samym każda następna próba wprawienia jej w ruch musi być bardziej pracochłonna. Lecz próba owa nastąpi, bowiem zmienność jest istotnym atrybutem substancji. Można mieć wątpliwości — czy naprawdę wobec substancji stale trzeba używać siły? Ale jest to nieuniknione, tak właśnie wygląda sens jej zmienności.

Zauważmy, że ten prosty schemat zawiera w sobie jakiś dziwny element — przecież każde następne szturchnięcie musi być mocniejsze. Substancja staje się przyczyną rozgrywki siły z siłą. I łańcuch jest nieskończony, giną w nim drobne elementy, zanika nawet sama substancja, o której w tej chwili staramy się opowiedzieć.

Łódź, 5 maja 1976

## opus 62, tragedia

Był wieczór. Justysia wracała do domu. Szła ciemną ulicą, przy której nie było żadnej latarni. Z trudnością rozróżniała kontury mijanych drzew. Śpieszyła się.

Nagle spostrzegła, że w odległości około dziesięciu metrów przed nią poruszył się jasny przedmiot. Przystanęła wystraszona. Zza krzaka wyskoczył biały kot i przebiegł jej drogę. Trwało to tylko chwilę.

Justysia poszła dalej. Znów się śpieszyła. Ale zaczęła rozmyślać o tym dziwnym zdarzeniu. Kot przebiega drogę i przynosi pecha — jest zwiastunem okrutnego losu (jakby ktoś pochylał się nad bezbronnym człowiekiem i jego cień obejmował całą sylwetkę uciekającego). Lecz musi to być kot c z a r n y. Ten był biały.

Czarny kot przebiegający drogę jest s y m b o l e m przyszłego losu, specyficznym znakiem dla kogoś, komu przydarzyć się ma nieszczęście. Tym samym powinien być d o s t r z e g a l n y, przynajmniej dla osoby zainteresowanej, inaczej nie może spełnić swojej roli, więcej — niektórzy ludzie sądzą, że kot nie postrzeżony w ogóle nie istnieje dla zagrożonego człowieka, którego świat jest skonstruowany z odczuwanych przezeń wrażeń. Zatem czarny kot w ciemnej

uliczce nie może być zwiastunem nieszczęścia, gdyż ginie w ciemnościach, których rozświetlaniem nie mamy potrzeby zajmować się dłużej.

Prawdziwym symbolem mógłby stać się kot o sierści jaśniejszej, postrzegalnej — przynajmniej dla Justysi. Co prawda w nocy trudno stwierdzić, jakiego koloru są spotykane koty, zwłaszcza gdy nie ma żadnego dodatkowego oświetlenia, ale przecież trudno o aż tak mroczną noc, by w ogóle niczego nie można było dostrzec. Wydaje się zatem, że rolę posłańca losu najlepiej spełniłby b i a ł y kot.

Łódź, 3 marca 1978

## opus 75, komedia

Pewien wielki uczony skonstruował przyrząd do zabijania ludzi o niebieskich oczach. Był to aparat działający w sposób godny podziwu, zgodnie z wszelkimi znanymi prawami natury. Uczony wykorzystał w nim osiągnięcia współczesnej nauki i techniki. Bezbłędny system wynajdywania i likwidowania ludzi o niebieskich oczach był fascynujący. Harmonia tego mechanizmu wydawała się urzeczywistnieniem marzeń ludzkości.

Na kongresie naukowym pewien człowiek zapytał uczonego, czemu właściwie służy jego wspaniały przyrząd i czy nie należałoby pamiętać, że nawet mając niebieskie oczy można być człowiekiem (i to nawet uczonym).

Oczywiście okazało się, że pytający był gościem przypadkowo przybyłym na kongres, do tego zupełnym dyletantem. Nie mógł się więc wypowiadać w sprawie tak wspaniale funkcjonującego mechanizmu.

Jego pytanie było po prostu niezgodne z prawami nauki i źle sformułowane.

A jego oczy były brązowe, na szczęście.

Łódź, 7 lipca 1977

## opus 80, tragedia

Plaże Riwiery nawiedziła plaga szarych kotów. Niektórzy z tamtejszych mieszkańców twierdzą zresztą, że to wcale nie koty. Stworzenia te mają wiewiórcze rude ogony i niebieskie oczy, w których czai się coś nieokreślonego, niesamowitego.

Zaniepokojeni turyści opuszczają modne miejscowości nadmorskie. A koty stąpają dumnie po ulicach, snują się po tarasach eleganckich willi. Bywa, że leży sobie człowiek spokojnie na plaży, opala się, czyta książkę lub myśli o swoim życiu, a kot siedzi tuż za jego plecami, cichutko, bez ruchu, lecz tak, by został zauważony. Mruży drapieżnie ślepia, wpatruje się w morze. Wydaje się, że jest zamyślony, nad czymś się zastanawia.

Koty jeszcze nikomu nie zrobiły krzywdy, więc pozornie nie ma żadnych powodów do obaw. A jednak trudno ustrzec się zaniepokojenia, gdy te zwierzęta pojawiają się wszędzie, zza każdego rogu ulicy może wyłonić się rudy ogon. Nie miauczą, nie mruczą, milczą w jakiś okrutny sposób. Nikt nie jest w stanie powiedzieć o nich coś istotnego, bo każdy zaobserwował dotychczas tylko j e d n e g o kota. Byłoby to może uspokajające, lecz te stworzenia widziane są przez wszystkich, w każdej chwili. Jeśli ktoś siedzi na plaży, pa-

trzy kotu w oczy, to jednocześnie, gdzieś w zupełnie innym miejscu mer Nicei ociera pot z czoła, z przerażeniem wpatrując się w szarego kota z rudym ogonem przechadzającego się po jego gabinecie. Zwierzęta te są rzeczywiste, można je nawet pogłaskać. Ale niebieskie oczy wpatrują się wtedy w człowieka tak przenikliwie...

Koty opanowały Riwierę. Plaże i morze, hotele — wszystko należy do nich. Przychodzą nawet we śnie. Wtedy ludzie budzą się z krzykiem i widzą koty obok swych łóżek. One też śpią. Śnią im się ludzie.

Wiedeń, 28 września 1976

## opus 82, tragedia

Nikt nie wie, gdzie znajduje się kasa. Wiadomo jednak, że zapłacić trzeba. Stoisz w kącie i popłakujesz cichutko, a przecież nikt cię o to nie prosił. Usłyszysz odgłos przejeżdżającego samochodu, będzie ci on towarzyszył coraz częściej i w końcu się zdecydujesz. Zawczasu przygotuj sobie paczki dobrych uczynków, pakiety uśmieszków, należałoby też mieć przy sobie jakieś zwykłe pieniądze (najlepiej całego obola) na przekupienie strażników.

Wbiegasz do lasu i nagle przestraszony przystajesz. Jesteś dwuimiennym zwierzątkiem i los już teraz każe ci myśleć. Niech ci się nie wydaje, że możesz się od czegoś uwolnić — albo będziesz niewolnikiem, albo uznasz swoją niewolę. Sam chciałbyś wszystko tak ładnie ułożyć, ale nie potrafiłeś i ktoś to zrobił za ciebie (o ile ktoś to musiał robić). Urzeczywistnienie pragnienia nigdy jeszcze nie wyglądało inaczej, droga jest najprostsza, twoja. Umówmy się zatem, że nikomu się nie poskarżysz (jak zresztą dotychczas czyniłeś). Umówmy się też, że pozostaniesz tam, gdzie byłeś. Możesz sobie powróżyć z liścia akacji, potem obserwuj uważnie dymek z papierosa, układający się w przedziwne kształty. Odkryjesz tylko tyle, ile będziesz potrzebował, reszta jest postanowiona i wróżby jej nie dotyczą, opływają jej kontur, w który wpatrujesz się z napięciem.

Drogi żółwiu, Achilles wyprzedził cię już na samym początku wyścigu i jest przed tobą, dlatego twoja ucieczka przed nim jest trochę bezsensowna.

Ateny, 5 września 1977

## opus 88, tragedia

Pogubiła się Justysia w jagodowym gąszczu, zanurzyła dłonie w gęstych krzaczkach i zrywała wielkie, zadziwiająco wielkie owoce.

Zatonąć w jagodach, och, zatonąć w jagodach! — i zapomnieć o pośpiechu, bo dokąd teraz śpieszyć się trzeba, każda chwila trwa tak długo, by spełniły się jej własne, ciche marzenia. A nad głową świeci słońce i cień — twój przecież — tańczy wytwornego kadryla na uroczystych listkach, na czarodziejskich owocach.

Oto jeden dzień można zmienić, można całkiem przebudować jego misterną strukturę i oto dzień jest tajemnicą, przedziwnym przemienieniem przeszłości i przyszłości zarazem w drapieżną teraźniejszość.

Jestem przecież — mówi sobie Justysia — och, nie — raz jeszcze powtarza — nie mówię do siebie, mogłabym oszukać siebie samą, okłamać się niemal okrutnie. Lecz trzeba kłamać — tłumaczy świat — bez kłamstwa byłabyś zbyt samotna, bez kłamstwa zostałby ci tylko smutek.

Ach, nie, mam przecież jagody — radośnie (z tryumfem) odpowiada Justysia — spójrz wreszcie, tu wszędzie rosną jagody i jeśli nie one są dla ciebie (świecie, Justysiu), to ty jesteś dla nich, oto ty jesteś dla nich (świecie, drogi świecie, Justysiu).

Ejże, przecież ty zaczynasz pytać, przecież ty masz wątpliwości i znów gubisz się w sobie, a tak łatwo możesz się

zagubić w jagodowym gąszczu, że każde inne zagubienie jest nieprawdziwe, nie twoje nawet.

Jeśli teraz pytasz, Justysiu, to nie pytaj już więcej, bo odpowiedź (twoją odpowiedź, odpowiedź świata) wiatr poniesie za góry, za morza, tam ludzie będą ją oglądać, szeroko otwierając oczy ze zdumienia.

Pogubiła się Justysia w jagodowym gąszczu, zanurzyła dłonie w gęstych krzaczkach i zrywała wielkie, zadziwiająco wielkie owoce.

Połonina Wetlińska, 20 lipca 1979

## opus 97, tragedia

Wśród traw wysokich, wyższych teraz niż ona, siedziała Justysia i nie wiedziała nawet, czy chmury na niebie, czy te trawy, czy też kolorowe polne kwiaty? — lecz któż wie, czy ty wiedzieć możesz?

Przyszedł do niej żuczek — książę żuczków, pan leśnych obszarów, wielki władca okolicznych włości. I chwalił swój kraj, a ona słuchała go uważnie, nie przerywając mu — zgadzała się z każdym jego słowem.

Przyszedł do niej pająk, lecz uciekł szybko, przestraszony.

Przyszły do niej mrówki, przyniosły prezenty i zadawały mnóstwo pytań, na które Justysia nie umiała odpowiedzieć — wtedy odeszły w stronę nory jenota (bo też jenot znany był powszechnie ze swej mądrości i roztropności).

Przyszły do niej drzewa liściaste i drzewa iglaste, różne zabawne drzewa, one szumiały — tak właśnie opowiadały leśne historie, niezmiennie zaczynające się pierwszym powiewem wiatru, kończące zaś jego odejściem w dalekie zamorskie krainy.

Na koniec przyszła do niej trawa, z nią też spokój i wielka pewność tego świata, który przecież odpływał od niej delikatnie.

Nie przyszedł do niej tylko borsuk, ale słońce było wysoko nad jej głową, świeciło tak łagodnie, jak tylko ono potrafi — do wieczora było jeszcze daleko.

**Połonina Wetlińska, 29 lipca 1979**

# opus 101, tragedia

Całe dnie śnił Suseł, całe noce. A sny miał przedziwne. Raz widział mocarzy tego świata, wspaniałych panów z bokobrodami, a raz też biedaków, smutnych ludzi idących ulicą. W jego śnie był śnieg. Jeśli świeciło słońce, to prosto w twarz i Suseł mrużył zaspane oczy, w końcu je zamykał i śnił, cicho śnił.

Suseł zgubiony w nieprawdziwych obrazach, Suseł wierzący w nie, swoim piskliwym głosem zachwalał bajeczne plany na przyszłość, zachwalał swoją bezbronną duszyczkę, wciąż jeszcze tkwiącą w pewnych średniowiecznych przesądach (mówiąc o średniowiecznych przesądach nie mamy wcale na myśli senności przeżyć Susła, Suseł śpi).

Suseł widział malarzy i malowane przez nich drzewa, widział wreszcie las cały, teraz już prawdziwy. Ujmował kolorów ze swych obrazów, widział szare niebo, szare liście — wtedy przychodzili oni i wszystko, dosłownie wszystko, malowali jaskrawymi barwami, malarze nieskończoności, malarze nieba.

Na dni całe, na noce, znikał w końcu Suseł, uciekał do snu, a tam goniły go okrutne zmory, ze strachu płakał sobie Suseł przez sen i chciałby się obudzić. Spotykał we śnie wielu ludzi, oni też byli prześladowani przez potwory i chcieli się obudzić, każdy z nich chciałby się obudzić.

**Łódź, 15 kwietnia 1980**

## opus 105, komedia

Słoniątko Wubis było miłym zwierzęciem. Lubiło leżeć na plecach w trawie i bawić się piłeczką. Podrzucało tę piłeczkę do góry i odbijało ją wszystkimi czterema nogami po kolei.

Pewnego razu zobaczył słoniątko Wubis poważny pan z Europy. Podobało mu się trochę, jego zabawa wydała mu się miła, ale po bliższych oględzinach orzekł, że słoniątko jest brudne. W swym szczerym zapędzie schwytał je i starannie umył. Był głęboko przekonany, że dopiero po tym zabiegu słoniątko będzie naprawdę szczęśliwe i będzie odbijało piłeczkę tak ładnie jak nigdy dotąd.

Niestety, okazało się, że zapał poważnego pana z Europy był przesadny. Gdy wreszcie wypuścił on słoniątko Wubis ze swych troskliwych rąk, pokuśtykało ono na jedynej zdrowej i trzech połamanych nóżkach w trawę, tam położyło się na plecach i próbowało znów bawić się piłeczką. Ale sił nie starczyło mu na długo. Wkrótce zdechło.

Słoniątko Wubis leżało na plecach w trawie, a jego piłeczka potoczyła się gdzieś daleko.

Łódź, 5 marca 1980

# opus 106, tragedia

Bździułwiąs śpi gdzieś daleko, w małej chatce. Nie, on nawet nie śpi, chyba tam mieszka. Jest zamyślony. Bździułwiąs nie mieszka w chatce, on po prostu istnieje w nieokreślonym miejscu, tak jakby go nie było. I jest, widzi i słyszy tylko tyle, ile sam potrafił stworzyć. Ten jego świat jest światem, w który uwierzył — dlatego nie potrafi się z niego wydostać. Jest niewolnikiem własnego snu, lecz jest też jego twórcą. Wielu spośród rzeczy, które widzi, nauczono go. On sam przecież nie wymyśliłby aż tak skomplikowanej rzeczywistości. Lecz pamiętajmy, że opis Bździułwiąsa jest tylko uproszczeniem najbardziej niezwykłych zjawisk, z jakimi przyjdzie nam się spotkać. A on już jest bardzo daleko od swoich pałaców, ogrodów. On ucieka, za bramą jawy czeka go zagłada. Nawet jeśli Bździułwiąs opamięta się, zrozumie własną, tworzącą i niszczącą moc, to będzie potrafił unicestwić tylko siebie, oczywiście przy pomocy wymyślonej rzeczywistości. Ale ciemności nie ma, zapomniał o niej. Jaki on jest bezradny! Dotyka łapką ściany swej chatki, czuje, że śpi.

Łódź, 27 maja 1978

# opus 108, komedia

Jedynym kryterium odróżnienia chwili obecnej od innych, które minęły, jest pamięć o przeszłości. Gdyby nie wspomnienia, w żaden sposób nie potrafilibyśmy odczuć upływu czasu. I przyjmujemy go bez zastrzeżeń, sądząc, że jest taki, jaki jest, podczas gdy jest on tylko narastaniem wspomnień.

Gdyby jednak uznać tworzenie tych wspomnień i różnicowanie ich za naturalną czynność ludzkiej świadomości, moglibyśmy bez obaw wyobrazić sobie siebie jako istoty, które płyną po powierzchni zdarzeń — wciąż tych samych — w jednej niezmiennej ciemności, pod nią stwarzając sobie przedziwną, splątaną i chaotyczną wizję przeszłości, która jest tylko upragnioną teraźniejszością, której z kolei wcale nie ma. A śmiercią moglibyśmy nazwać stan wyczerpania się wspomnień.

Łódź, 28 maja 1978

## opus 109, komedia

Każdy z nas zostanie specjalistą i będzie się bardzo dobrze znał na swoich drobiazgach istotnych. Pamiętając o zwielokrotnianiu się możliwości wraz z postępem technicznym, zatopimy się w kontemplacji naszych zabawek, aż w końcu rozstroimy je ostatecznie. Wtedy zostaniemy małymi szarymi robotami, snującymi się wśród podobnych im, w ten sposób (pozornie przynajmniej — powtarzam) rozwiną się nasze talenty improwizatorskie. Spełnione zostaną wizje pisarzy fantastyczno-naukowych, którzy dotąd szczerze wierzą, że w przyszłości maszyny będą wykonywać prace brudne i niełądne, a nawet ładne. Lecz któż by podejrzewał, że maszynami tymi będą ludzie, sterowani przez trochę większą maszynę, której kiedyś będą bać się bardziej niż dziś. I zakupy będą nosić w jednakowych zielonych torebkach — wszyscy. Jamniki, psy głupie, idiotyczne w kształtach i sposobie chodzenia — zostaną zlikwidowane. Na ich miejsce przyjmą się jakieś inne, pożyteczne stwory. W ogóle wszyscy zaprzyjaźnią się ze sobą, o ile będą mogli choć trochę przyczynić się do tego.

Czeka nas ogólna specjalizacja i wielka praca nad likwidacją dyletanckiego sposobu podejścia do poważnych zagadnień.

Łódź, 29 maja 1978

## opus 121, komedia

Wyobraźmy sobie akwarium z rybkami. Niech ma ono bardzo grube ściany, wytrzymujące wszystkie możliwe w naszym eksperymencie ciśnienia. Ponad powierzchnią wody niech znajdują się pojemniki z pokarmem, umieszczone w ruchomej przykrywie całego akwarium. Do każdego pojemnika przyczepiony jest sznureczek, zwisa on nad powierzchnią wody, pociągnięcie zań powoduje chwilowe otwarcie pojemnika, wysypanie pokarmu i obniżenie się całej przykrywy. Rybki, które mają tyle odwagi, by pociągnąć za sznurek, spełniają z punktu widzenia innych rybek podwójnie pożyteczną rolę:
— dostarczają pożywienia wszystkim mieszkańcom akwarium, sobie w najmniejszym stopniu, bo zanim zorientują się, większość jedzenia znika;
— obniżają przykrywę, przez co koniec sznurka znajduje się niżej i w przyszłości łatwiej jest sięgnąć po pokarm.

Proces zdobywania jedzenia ma dla rybek oczywiście podstawowe znaczenie, bez niego każde inne działanie byłoby nie tylko skazane na niepowodzenie, ale i bezcelowe. Dlatego stopniowe obniżanie się przykrywy oceniają one pozytywnie, dostrzegając w nim dla siebie olbrzymie perspektywy na przyszłość.

Zauważmy jednak, że następujący wraz z tym wzrost ciśnienia wewnątrz akwarium musi w konsekwencji dopro-

wadzić do sytuacji, gdy sięgnięcie po pokarm będzie zupełnie niekłopotliwe (sznurek tuż pod nosem), lecz wszelkie inne czynności istotne rybek będą, ze względu na potworny nacisk otoczenia, wykluczone.

I proces ten postępuje nieuchronnie, bo rybki (miejmy nadzieję) nie zdecydują się na samozagładę.

Łódź, 10 maja 1978

Pozornie przynajmniej — KONIEC

# Spis treści

Opus 1, tragedia 7
Opus 4, tragedia 8
Opus 6, tragedia 9
Opus 7, komedia 10
Opus 9, komedia 11
Opus 12, komedia 12
Opus 13, komedia 13
Opus 16, komedia 14
Opus 17, tragedia 15
Opus 18, tragedia 16
Opus 20, komedia 17
Opus 21, tragedia 18
Opus 22, tragedia 19
Opus 23, komedia 20
Opus 27, tragedia 21
Opus 28, komedia 22
Opus, 29, tragedia 23
Opus, 30, komedia 24
Opus 33, tragedia 25
Opus 42, komedia 27
Opus 46, tragedia 28
Opus 47, komedia 29
Opus 48, komedia 30
Opus 50, tragedia 31
Opus 51, tragedia 33

Opus 53, komedia 35
Opus 54, tragedia 37
Opus 60, komedia 38
Opus 62, tragedia 39
Opus 75, komedia 41
Opus 80, tragedia 42
Opus 82, tragedia 44
Opus 88, tragedia 45
Opus 97, tragedia 47
Opus 101, tragedia 49
Opus 105, komedia 50
Opus 106, tragedia 51
Opus 108, komedia 52
Opus 109, komedia 53
Opus 121, komedia 54

BIBLIOTEKA POEZJI

Cena 40,-

KRZYSZTOF OSTASZEWSKI (ur. 1957 w Łodzi) ukończył studia matematyczne w Uniwersytecie Łódzkim. Równolegle z pracą zawodową w dziedzinie matematyki, jaką podjął w Instytucie Matematyki macierzystej uczelni na stanowisku asystenta, zajmuje się twórczością literacką, pisząc wiersze i małe formy prozą. Jako poeta debiutował w r. 1977 na łamach „Życia Literackiego", publikując następnie swe utwory również w „Tygodniku Kulturalnym", „Szpilkach", „Odgłosach", Integracjach" oraz w łódzkim kwartalniku „Osnowa", gdzie ukazała się m. in. jego praca „O pozornej wyższości tragedii nad komedią i wynikających stąd nieporozumieniach". Jest autorem arkusza poetyckiego „Pytania", wydanego w r. 1980 w cyklu „Pokolenie które wstępuje", oraz tomu opowiadań „Patrzymy na zwierzęta" (1982). Na obecny zbiór składają się utwory pisane prozą poetycką, w których autor penetruje dwa rodzaje „grozy" występującej w świecie i w myśleniu o nim: „grozę tragiczną" i „grozę ludyczną" („komediową").

ISBN 83-218-0329-6